

Alpy – przejście z Courmayeur do Val Veny

Pierwszy trekking, jak to najczęściej bywa, jest przejściem rozpoznawczo-zapoznawczym. To podczas tej wędrowki uczestnicy poznają się wzajemnie, prowadzący oceniają nasze siły, a my zaczynamy wczuwać się w klimat nowych gór. Dlatego trasa zazwyczaj nie jest zbyt męcząca. Nasze pierwsze wyjście w góry było zaplanowane na około 13 kilometrów, jednak z przewyższeniami rzędu 800 metrów w górę i 500 w dół.

Po śniadaniu ruszyliśmy w stronę miejscowości Courmayeur we Włoszech. Najpierw jednak musieliśmy pokonać 11-kilometrowej długości tunel, którym przedostajemy się z Francji do Włoch. Tunel du Mont Blanc oddany do użytku w 1965 roku przebiega dokładnie pod szczytem Aiguille du Midi (3842 metry n.p.m.). Jego wlot po stronie francuskiej znajduje się na poziomie 1274 metrów a wylot po stronie włoskiej na wysokości 1381 metrów. W uroczystości otwarcia uczestniczyli ówcześni prezydenci: Francji Charles de Gaulle i Włoch Giuseppe Saragata. Co ciekawe to gdy spotkały się dwie ekipy wierzące tunel z obu stron góry odchył od osi miał tylko 13 centymetrów. Trzeba powiedzieć, że budujący wykazali się niezwykłą precyzją. Niestety w historii tej arterii zdarzył się tragiczny wypadek. W 1999 roku w tunelu zapaliła się ciężarówka przewożąca m.in. kilka ton margaryny. Spowodowało to wytworzenie temperatury dochodzącej do 1000 stopni. W wyniku tej katastrofy zginęło 39 osób i uległo zniszczeniu około 40 pojazdów. Na remont tunelu i dostosowanie go do nowych norm bezpieczeństwa potrzeba było czekać trzy lata.



Początek trasy miejscowość Courmayeur. Foto: Krzysztof Tęcza

Po dotarciu do miejscowości Courmayeur przesiedliśmy się do darmowej komunikacji publicznej, którą dojechaliśmy do początku naszego trekkingu, w górnej części doliny Veny (Val Veny) – La Visaille położonej na wysokości 1659 metrów n.p.m. To właśnie tutaj ruszyliśmy na szlak zmierzając w stronę przełęczy Col de la Seigne, spod której wypływają strumyczki tworzące rzekę Dora di Veny. To właśnie ona będzie nam towarzyszyć podczas dzisiejszego przejścia.

Muszę przyznać, że po godzinie marszu jesteśmy zauroczeni widokami jakie nam towarzyszą. Te wysokie szczyty, niektóre pokryte śniegiem, naprawdę robią wrażenie. Jak na razie droga jest bardzo łagodna choć wciąż pniemy się mozolnie pod górę.

W końcu docieramy do schroniska Cabane du Combal znajdującego się na wysokości 1968 metrów n.p.m. Możemy trochę odpocząć. Sam obiekt, nie dość, że położony w ciekawym miejscu, jest zadbane a obsługa uprzejma. Nie było problemów ze skorzystaniem z toalety. Jadalnia ozdobiona zdjęciami przedstawiającymi najładniejsze szczyty Alp oraz starym sprzętem wspinaczkowym i dzwonkami dla zwierząt gospodarczych.



Schronisko Cabane du Combal. Foto: Krzysztof Tęcza

Jak było do przewidzenia od schroniska skończyło się łagodne przejście. Teraz musimy przygotować się na niezły wysiłek. Wydeptaną ścieżką podchodzimy stromo na widoczny wyżej grzbiet za którym znajdują się ciekawe jeziora Miage. Jest tu sporo ludzi i jak się okazuje część z nich zażywa kąpieli w chłodnej wodzie. Nad nami widać jezioro lodowca Miage spływającego ze zbocza Mont Blanc. Co ciekawe, jedno z jezior ma kształt serca.

W drodze powrotnej czekało nas przejście po grzędzie z luźnych kamieni. Trzeba było uważać by nie skrócić sobie nogi. Na szczęście obyło się bez wypadków.



Krótki odpoczynek na szlaku. Foto: Krzysztof Tęcza

Teraz ruszamy na przejście trawersem w kierunku schroniska Refuge Maison Vieille gdzie mamy zamiar wsiąść do kolejki i zjechać na dół do miasteczka, w którym czeka nasz autobus. Zanim jednak to nastąpi musimy podejść na wysokość 2442 metry, do miejsca zwanego Arete du Mont Favre. I dopiero teraz widzimy, że to nie przelewki. Tym bardziej, że co chwilę mijają nas jacyś biegacze. Wszyscy mają przyczepione numery. Okazuje się, że właśnie trwa impreza biegowa w której udział bierze 1500 osób. Nie pozostaje nam nic innego jak reagować na kolejne okrzyki i schodzić na jedną stronę ścieżki. Gorzej jak jesteśmy na zboczu i pod nami jest kilkusetmetrowy spadek. Robi się wtedy trochę niebezpiecznie.

Widoki wciąż są powalające, mijamy jakieś ruiny ni to domków, ni to pomieszczeń przeznaczonych dla wypasanych zwierząt. Przy jednym z takich obiektów odpoczywamy nabierając sił na dalszą wędrówkę. Wszak jest to nasz pierwszy trekking po bardzo długiej podróży. Teraz widzimy chmury krążące ponad szczytami, raz je skrywające, raz odsłaniające. To niesamowity taniec przygotowany nam przez naturę. Nie spodziewaliśmy się takich obrazków.

Wreszcie docieramy do schroniska Refuge Maison Vieille położonego na wysokości 1956 metrów. Wygląda na to, że to właśnie tutaj jest meta naszych biegaczy. Są ustawione stoiska, na których otrzymują oni posiłek i picie. Wszyscy są uśmiechnięci, choć widać po twarzach niektórych, że muszą być wykończeni. Nic dziwnego, bieg po takich górach, w takim upale, musi być wyczerpujący.

Schronisko jest bardzo przytulne. Pełno w nim pamiątek z gór, starych zdjęć, koszulek itp. Toalety znajdujące się nieco z boku wcale nie są okupowane. To dziwne zważywszy na ilość przebywających tutaj osób.



Ostatnie spojrzenie na Alpy przed zjazdem na dół. Foto: Krzysztof Tęcza

Teraz najprzyjemniejsza, jak się okazało, tego dnia część programu. Zjazd kolejką na dół. Ciekawostką jest znak oznajmiający, że dzieci o wzroście do 125 centymetrów muszą być pod opieką osoby dorosłej. Przecież to jest wyciąg krzesełkowy. Niebawem słyszymy jakieś dzwonki. To pod nami pasą się krowki dźwigające zawieszone na szyi dzwonki. Ich właściciele nie mają dla nich litości. Przecież można oszaleć słysząc dzwonienie przy każdym ruchu przez cały dzień.

Gdy wysiadamy na stacji przesiadkowej termometr pokazuje 25 stopni Celsjusza, a trzeba wiedzieć, że dochodzi już piąta po południu. Wsiadamy do kolejnej kolejki, tym razem gondolowej i po zjechaniu do Courmayeur przesiadamy się do naszego autobusu by ponownie przejechać przez Tunel du Mont Blanc i dotrzeć do hotelu na zasłużony obiad.

Jesteśmy zmęczeni, nawet bardzo zmęczeni, ale to co przeżyliśmy, a przede wszystkim to co zobaczyliśmy, daje nam radość i chęci na jutrzejsze wyjście w góry.

Krzysztof Tęcza